

Maria Rutkowska

# Czerwone róże Carla

Proszę wybaczyć mi usterki stylowe — niżej reprodukowano dzieła, gdyż jest to mój autentyczny pamiętnik pensjonarski z przed lat dziesięciu.

Rzym, 3 kwietnia.

Ach, ci Włosi! Doprawdy, są nieźni. Zachowują się wobec nas tak, jakby po raz pierwszy widzieli kobiety. Jesteśmy tu trzeci dzień, a mamy ich po uszy.

Gdziekolwiek się ruszymy, zaraz ciągną za nami po dwóch, trzech, aż się robi całe stado. „Bella polacca, bella polacca...” i nie więcej mądrego nie potrafia powiedzieć, tylko przewracają oczami, aż błyskają białka. No i psują nam cały spokój i uroczysty nastrój.

Jak tylko stajemy przed jakim posągiem, zaraz obok wyrasta przynajmniej jeden żywy posąg. I jak tu można potrzebować na kamienną rzeźbę, kiedy te żywe posągi mają takie strasznie gorące oczy...

Rzym, 4 kwietnia.

Widziałam dzisiaj na Monte

Pincio Mussoliniego. Jechał konno. Miał wspaniałą twarz. Wszystkie mamy już jego fotografie.

Jedyna korzyść z tych włoskich zalotów to znaczki faszystowskie, jakie od różnych przygodnych adoratorów zdobywamy. To był dobry pomysł Marychny. Powiedziała: „Carpe diem”, nie traćmy okazji, jak sama wchodzi w ręce. Ostatecznie, cóż szkodzi odpowiedzieć uśmiechem na czyjś uśmiech w tramwaju, zwłaszcza dla wyższego celu... A może uda nam się wydobyć na pamiątkę małe „fasce”. Każda przecież o tym marzy. Dopiero z dumą będziemy się chwalić taką zdobyczą w Warszawie.

Więc zaczął się wyścig o fascie. Niektóre mają już po kilka.

Rzym, 5 kwietnia.

Nie myślę o żadnych głupstwach. Tyle wrażeń, które zostaną na całe życie! Chłoniemy w siebie piękno, nagromadzone w tym cudownym mieście przez całe wieki. Na każdym skrawku ulicy, w muzeach, kościołach.

Ale swoją drogą zachowanie tych Włochów przechodzi wszelkie wyobrażenia. Dziś byliśmy w Bazylice św. Piotra. Wielki Czwartek, więc tłumy ludzi. Przeważnie sami cudzoziemcy. Słyszysz się dookoła szepty w językach całego świata. Znaleźli się jednak Włosi znowu po to, żeby psuć najpoważniejszą chwilę.

Koło mnie stała Anka. Nagle usłyszałam jej ciche wołanie. Oglądałam jej ciche wołanie. Oglądałam jej ciche wołanie. Oglądałam jej ciche wołanie.

Niesłychane! Co oni chcieli z nią zrobić?

Rzym, 10 kwietnia.

Po dniach najgłośniejszych wzruszeń, jakie przeżyliśmy w ciągu Wielkanocy, zaczynają się znowu dalsze „wędrowki turystyczne”.

Nie jestem już w stanie patrzeć na obrazy. Zmęczone oczy gubią się we freskach Rafaela. Trzeba było chyba na to całych tygodni. Rzeźby jeszcze tylko mają swo-

ją wyraźną wymowę. Do „Dyskobola” wracałam kilka razy. Jest dla mnie stokroć piękniejszy od Apolla Belwederskiego. Apollo, to taka lalka.

Rzym, 11 kwietnia.

Upajamy się wiosną, czarowną rzymską wiosną. Dziś w parku Borghese mogliśmy sycić się nią do utraty tchu. Biegaliśmy, jak szalone po alejach, w słońcu, wśród drzew.

Jadzia tam właśnie znalazła swego nowego wielbiciela. Już wie, że nazywa się Carlo.

Siedział samotnie na ławce, kiedy przysiadł obok, żeby odpocząć. Mnie sprzykrzyło się przedko odpoczywanie. Odeszłam i nie wiem nawet, jak zaczęła się ta ich pierwsza rozmowa. Nie myślałam zresztą, że się w ogóle zacznie. Ten Carlo (bardzo zresztą przystojny) miał wygląd wyjątkowo, jak na Włocha, człowieka opanowanego. Miał przy tym taką obojętną, smutną minę.

A jednak zaczęło się...

Rzym, 12 kwietnia.

Carlo jest wierny. Wierny od

dwóch dni bez przerwy. Wszędzie, gdzie idziemy, wyrasta, jak z podziemi. Zawsze tak samo wytworny, z tak samo smutnymi oczami.

Powiedział Jadzi, że w jej niebieskich oczach znalazł to, co kiedyś, kilka lat temu stracił. Że był ktoś, kto miał takie same, jak

o zwaliska w pełnym blasku. Carlo mówił coś cichym głosem.

— Jabym sobie znalazła w takim wypadku miejsce bardziej zaciemnione — powiedziała Zosia — to jest marnowanie okazji.

Jakież ona ma prozaiczne upodobania!



niebo, czy i z kim razem wiosenne dni spędzał w parku Borghese.

Go naprawdę romantyczna przygoda...

Rzym, 13 kwietnia.

Carlo i Jadzia są stale razem. Carlo dziś na Forum ofiarował jej dwie złote róże. Powiedział, że z wdzięczności za uśmiech, którym go obdarza.

Na Forum paliło słońce. Żar lał się z nieba. A Carlo chodził z kapeluszem w rękę, jak nieprzytomny, zapatrzony w Jadzię. Nie mogłam wytrzymać i powiedziałam:

— Niech pan włoży kapelusz. Przepali pan sobie głowę.

— Ach, to nie ważne — uśmiechnął się, jakby nie rozumiał, że można rzeczywiście przepalić głowę, albo jakby mu się zdawało, że przy Jadzi nie można mieć kapelusza na głowie. To się nazywa egzaltacja w miłości.

A potem, kiedy chodziliśmy po wzgórzu pałacowym, między kwiatkami migdałowymi drzewami, zbierał z ziemi całe garście białych i różowych płatków i sypał je na ręce Jadzi.

Wieczorem byliśmy w Colosseum. Carlo znowu przyszedł z jasnymi różami. Kryśia zauważyła złośliwie:

— Ale czerwonych dotąd ci nie przyniósł. Nie umiesz obudzić w nim prawdziwej miłości.

Colosseum tętno w srebrze księżycy. Świat był jak srebrna bajka. Jadzia i Carlo stali oparci

Rzym, 14 kwietnia.

Odjeżdżamy z Rzymu. Z żalem, że już coś minęło, z radością, że czekają nas nowe wrażenia.

Carlo przyniósł pęk czerwonych róż. Czerwonych jak krew, jak gorąca miłość. Tak mówiła Kryśia. Jadzia uśmiechała się, trochę zażenowana. I nie odpowiedziała nic, kiedy powiedział, w chwili, gdy pociąg ruszał:

— Pragnę jednego. Spotkać jeszcze panią w życiu...

Neapol, 16 kwietnia.

Jadzia wyrzuciła przez okno zwinięty bukiet. Nie zostawiła nawet żadnej róży na pamiątkę.

A wieczorem w teatrze Antonio częstował ją karmelkami, które wyciągał ręką prosto z kieszeni. Brała je z takim samym uśmiechem, jak przed tym w Rzymie kwiaty.

Żal mi czerwonych róż Carla...

Tyle było w pamiętniku.

— Karmelki Antonia i róże Carla miałyby może dzisiaj dla mnie nieco inną wartość — powiedziała, uśmiechając się. Jadzia, kiedy dwa dni temu spotkałyśmy się w tramwaju i przyklejona na szybie wagonu reklama wycieczek do Włoch przypomniała nam rzymskie dni z przed dzieśmiu laty.

— I w tych warunkach Carlo mógłby być niebezpieczny, jak niebezpieczny byłby mój późniejszy sentymentalizm. Dlatego lepiej, że ta historia działa się dzieśmiu lat temu.

Jerzy Stokowski

## W i t S t w o s z

### W pięćsetlecie urodzin

W roku 1438 urodził się Wit Stwos, zwany również Stoszem i chociaż jest on bodaj najwybitniejszą indywidualnością w dziejach sztuki polskiej, rola jego nie



jest dotąd dostatecznie doceniana.

A przecież Wit Stwos był postacią przełomową. W swojej twórczości zawarł syntezę artystycznych dążeń i aspiracji wieku XV. Zamykając ostatecznie kartę włosko - czeskiego idealizmu, który dominował na naszym terenie, wprowadził jaknajdalej idącą realizm indywidualizację połączoną z niespotykaną dotąd dy-

namiką i pełnią dramatycznego napięcia.

Wit Stwos tworzył i żył w epoce szczytowego rozwoju polskiego średniowiecza. Właściwie trzeba by powiedzieć, że był on jednym z jego twórców. Bo on właśnie uczył jak należy harmonizować wiarę, stawiającą na pierwszym hierarchicznie miejscu, cele ostateczne, z formami, wśród których żyjemy i które naszym plastycznym możliwościom są dostępne. Harmonizacja i uzależnienie pierwiastków formalnych od własnego życia duchowego znakomicie pogłębiło sztukę Stwosa, stworzyło jej nowe, szerokie horyzonty, zabierając idealistyczną jednostronność i cklivą, a tak często sprowadzającą

na fałszywe tory przy ocenie wartości dzieła sztuki, słodycz.

Trudno byłoby stwosowskie osiągnięcia wywodzić tylko od rodzającego się w początkach XV wieku flamandzkiego realizmu i jedną zasługę przypisywać mu w przetransponowaniu nowych prądów na nasz grunt. Bo wiemy dobrze, że właściwie cała indywidualność artystyczna Stwosa kształtowała się już w czasie jego pobytu w Polsce, gdzie pracował w latach 1473 do 1499, w ścisłej zależności od naszego tam toczącego życia.

Wit Stwos nie miał zbyt wielkiego wpływu na współczesnych mu artystów, którzy idąc po linii najmniejszego oporu z obowiązującego ich dotąd liryz-

mu i idealizacji, stworzyli konwensans, pozostając w tyle poza życiem, które zmieniało się wtedy w sposób bardzo zasadniczy. Ale to już jest sprawa różnicy poziomu między nim, a tymi wszystkimi cechowymi malarzami i rzeźbiarzami, którzy wówczas głównie na terenie Krakowa pracowali.

Jest natomiast rzeczą bezsporną, że Stwos, który stanął na przełomie surowych form średniowiecznych i który silnym rozumem pchnął sztukę polską w kierunku wyzbycia skostniałych formułek w tworzeniu, na dalszy jej rozwój miał wpływ ogromny i decydujący. On pierwszy odkrył polskim artystom, że w swojej twórczości mogą realizować swoje, im tylko właściwe spojrzenie na świat, posługując się nawet gdzie indziej wypracowanymi zdobyczami perspektywy i faktury.

Dłatego dzieła Wita Stwosa powstałe prawie przed pół tysiącem lat, są niewątpliwie bardziej nam bliskie, niż to wszystko, co dzisiaj oglądamy jako szczyt nowoczesności w sztuce, opartej na paryskich zdobyczach kolorystycznych.



**Tylko 50 groszy** kosztuje tuba pierwszorzędnej pasty do zębów **MARYDONT** skutecznej w pielęgnowaniu zębów, przyjemnej w użyciu

W. Szary

## O przyjemny list od państwa do króla kurkowego

Bardzo mi się podobał majster piekarski pan Józef Jagodziński ze Żnina. Przepraszam... Jego Królewsko Mość Józef któryś tam Żniński.

Gdy piszę te słowa pewno jest bardzo zajęty wypiekaniem różnych wielkanocnych cudów dla swej szanownej klienteli żnińskiej. Szanownej wcale nie dlatego, że trochę tam i nasze pismo w Żninie czytają, a czytelnik zawsze jest szanowny, ale dlatego, że to twarda pałucka rasa, która z obcymi rasami nieźle sobie poczyniła, jakieś to nieraz czytali i słyszeli.

Wracając do rzeczy pan Józef Jagodziński okazał wielki szacunek dla tradycji, domagając się zwolnienia go od podatku na

mocy przywileju Jana III Sobieskiego, w myśl którego król kurkowy miasta Żnina „ma zostać w ciągu roku całkowicie wolny i nie tykany od wszelkich podatków”.

Przywiązanie do tradycji wyraziło się u pana Józefa Jagodzińskiego w sposób dość praktyczny — poznaniacy już są tacy i wcale nie mamy im tego za złe.

Często czytamy o różnych różnawnych dawnym i czasem dużo dawniejszych tradycjach, wciąż jeszcze żywych w Anglii. U nas bardzo trudno w życiu państwa, w przepisach prawnych, w instytucjach znaleźć tak żywe, bezpośrednie i namacalne objawy związku z okresem świętości, jak ten mały wypadek z panem

Józefem Jagodzińskim. Powinniśmy to szanować, zwłaszcza, że przywilej zwyciężył z pod Wiednia wcale nie był taki niepraktyczny, nie mówiąc już o tym, że pochodzi z czasów, w których nie kto inny, tylko my, Polacy, byliśmy pod Wiedniem zwycięzcami, w nas, a nie w kim innym, widziano obrońców rzymskiej cywilizacji starej Vindobony przed wschodem...

Przywilej króla Jana III zachęcał rzemieślników i kupców miasta Żnina do tego, by uczyli się celnie strzelać. Zastanówmy się: korzyść materialną otrzymywał nie najbardziej zastrężony przy wyborach członek „Strzelca”, przepraszam bractwa kurkowego, ale ten, co rzeczywiście najlepiej strzelał i oczywiście nie ten, co najwięcej strzelał byków i nie ten co najlepiej strzelał kulą w płot, ale ten co najlepiej strzelał do kura.

Wniosek z tego, co piszę, jest już dosyć jasny: chciałbym, żeby pan Józef Jagodziński dostał w

tych dniach przyjemny list od Państwa. Jakis żydek napisał, że nikt nigdy nie dostał przyjemnego listu od Państwa. Wykażmy mu jeszcze raz, że powinno to najwyżej dotyczyć... jego rodaków.

Nie chciałbym nikomu narzucać decyzji, ale takbym sobie wyobrażał to urzędowe pismo, które panu ministrowi skarbu ujmę wcale nie przyniesie:

„Na mocy przywileju króla Jana III Sobieskiego z dnia 14 lipca 1688 r. i zarządzenia pana Ministra Skarbu z dn. 19 kwietnia 1938 r. L. 153/PZ-4/III/G-D oraz pisma Izby Skarbowej w Poznaniu z dn. 25 kwietnia 1938 r. 1685/IB/IV/ZW Urząd Skarbowy w Żninie donosi, że przynależność Pana do podatku obrotowego i dochodowego za rok podatkowy 1938, oraz zaliczył uiszczoną opłatę za świadectwo przemysłowe na poczet roku 1938, chyba, że zaistnieje podstawa do zwolnienia Pana od podatków także i w 1939 roku. W naprowadzonym wypadku urząd skarbowy wygotuje asygnowanie, na podstawie gotówką zwrotu należności za takowe świadectwo.

W celu zrealizowania wyszczególnionych ulg powinien Pan w

nieprzekraczalnym terminie 3 dni przedstawić tutejszemu urzędowi należycie nieosiemplowane zaświadczenie Bractwa kurkowego, metrykę ślubu i rejentałny odpis przywileju króla Jana III Sobieskiego oraz dla użytku służbowego fotografię takowego w dwu egzemplarzach... i t. d., i t. d.

Już sobie wyobrażam, że w urzędzie podniosą się zastrzeżenia przeciw temu sposobowi załatwienia sprawy. O co chodzi? O pieniądze? Głupstwo! Można skreślić z subwencji dla Strzelca w powiecie żnińskim.

Może być jedno poważniejsze zastrzeżenie. Co się stanie, jeżeli naprzykład pan Alfred Falter zechce się zapisać do bractwa kurkowego w Żninie i z właściwą swą rasie wytrwałością będzie się ćwiczył w strzelaniu, aż do skutku? I to zastrzeżenie jest nieistotne. Po pierwsze pan Alfred napewno w ramach przepisów prawa potrafi sobie i bez strzelania poradzić z dużą częścią podatków. Po drugie, jak tradycja, to tradycja, a czy słyszał kto, żeby w bractwach kur-

kowych były Faltery? Już przedtem w klubie myśliwskim stolic, czy w radzie Banku Polskiego (przez duże „P”), ale w polskim (przez małe „p”), bractwie kurkowym miasta Żnina to się nie zdarzy!

Miejmy zaufanie do znacznych obywateli miasta Żnina: w swoich rękach utrzymują tytuł króla kurkowego — i mimo całej praktyczności walczyć będą w jego obronie przed intruzami nie tylko dla — ulgi podatkowej.

Jabym nawet zwolnienie dla królów kurkowych rozszerzył i na inne miasta (może po zmodernizowaniu warunków konkursu?). Narazie z wyżej wymienionych powodów, nie grozi niebezpieczeństwo zbytniego uszczuplenia przez to dochodów skarbu, póki ci, którzy lwia część podatków płacić by powinni nie zostaną wykluczeni nie tylko z bractw kurkowych polskich, ale także z wszystkiego co polskie: z polskiego handlu, polskiego przemysłu, no, i w ogóle z polskiej ziemi.